

Burzliwa premiera „Holendra tułacza”

Wśród pasażerów niemieckiego statku handlowego „Thetis”, który w lipcu 1839 roku zmierzał z Pilawy do Londynu, znajdował się Ryszard Wagner z żoną. Kompozytor chciał dotrzeć do Paryża, by tam wystawić swą nową operę „Rienzi” i wreszcie zdobyć sławę i pieniądze. Niestety, podróż, którą odbywał potajemnie, bo wierzyciele zajęli jego paszport, od początku obfitowała w problemy. Bodaj najgorszym okazał się gwałtowny sztorm, który spotkał podróżników w cieśninie Kattegat między Danią a Szwecją. Właśnie wtedy, jak utrzymują biografowie kompozytora, zaczął Wagner planować swoją nową operę: „Holendra tułacza”.

Uwertura odmalowuje przed słuchaczami sugestywne obrazy morskiej burzy, a pierwsza scena dzieje się w zatoczce, w której marynarze chronią się przed zawieruchą. Wkrótce pojawia się wątek przekłętego na wieki żeglarza, Holendra tułacza, ujawniając drugie ważne źródło kompozytorskich inspiracji: legendę o latającym Holendrze, uwiecznioną przez Heinricha Heinego w „Pamiętnikach pana Sznabelewopskiego”.

Ta opera, jako pierwsze ważne i znajdujące się w stałym światowym repertuarze dzieło Wagnera, doczekała się wielu inscenizacji. W historię jej wystawień wpisuje się Teatr Wielki w Łodzi: w styczniu premierę tego dzieła pokazał po raz drugi, po 21 latach przerwy.

Inscenizacja i scenografia są wynikiem współpracy łódzkiej sceny z austriackim Richard Wagner Festival Wels. Festiwal ten po 26 latach działalności z powodów finansowych zostanie zlikwidowany; w maju tego roku ma się odbyć jego ostatnia edycja. Twórczyni i dyrektorka tej imprezy, Renate Doppler, postanowiła więc podzielić się z innymi teatrami inscenizacjami i dekoracjami wybranych spektakli. – *Czuję się, jakbym oddawała swoje dziecko – mówiła – ale jestem pewna, że idzie ono w dobre ręce.*

Festiwal w Wels słynie z inscenizacji wiernych dziełom, przeciwstawiających się nurtowi popularnego w krajach niemieckojęzycznych tzw. teatru reżyserskiego (Regietheater). Takie jest też omawiane przedstawienie. Począwszy od towarzyszących uwerturze projekcji wyobrażających burzę morską, poprzez plażę, na którą morze wyrzuciło resztki starych statków, aż po salę z kołowrotkami, na których przędą czekające na przyszłych mężów dziewczęta – wszystko jest tradycyjne, dosłowne, malownicze. Tradycjoniści będą więc usatysfakcjonowani, ale innym może doskwierać brak finezji. Zwłaszcza początkowe projekcje z burzą i piorunami były chyba zbyt banalne.

Największym atutem tej inscenizacji są niewątpliwie soliści, gdyż do Teatru Wielkiego zaproszono renomowanych odtwórców ról Wagnerowskich. Choć korzystanie z sił zewnętrznych kosztem aktorów etatowych to jeden z najważniejszych zarzutów pracowników Wielkiego w trwającym właśnie konflikcie z dyrekcją, w tym przypadku nie ma wątpliwości, że podjęto właściwą decyzję. Role Wagnerowskie są bowiem specyficzne, wymagają dużego, odpowiednio ustawionego głosu i często wokaliści właśnie w nich specjalizują się przez całą swą karierę. Od takich specjalistów inni artyści mogą się sporo nauczyć.

Rolę tytułową kreował Jukka Rasilainen, niemiecko-fiński bas-baryton, który swą karierę rozpoczynał od partii Holendra tułacza i od tamtej pory wykonał ją już ponad 200 razy, między innymi w teatrze-świątyni Wagnera w Bayreuth. Zaimponował silnym, dobrze postawionym głosem o ciekawej barwie. Zwracał też uwagę powściągliwym aktorstwem. Wszystkie jego ruchy były przemyślane, a postawa ciała wymowna. Taki oszczędny warsztat, w moim przekonaniu, sprawdza się w operze o wiele lepiej niż spotykane jeszcze czasem przerysowane gesty rodem z filmu niemego. Wyrzystym sopranem o ostrych konturach dysponuje Astrid Weber, która wcieliła się w Sentę. Ta artystka także grą aktorską i całą fizys wpisywała się w życzenia kompozytora, który żądał, by Senta nie była istotą marzycielską i sentymentalną, lecz „silną nordycką dziewczyną”. Świetnie zaprezentował się Clemens Bieber jako Eryk. Mniejsze role nie przeszkodziły w ujawnieniu walorów wokalnych rodzimym artystom: Oldze Maroszek (Mary), Grzegorzowi Szostakowi (Daland) i Dominikowi Sutowiczowi (Sternik). Wszyscy soliści tego wieczoru godni byli szczerych oklasków.

Niestety, nie da się tego samego napisać o orkiestrze. Narzekać można zarówno na banalne błędy wykonawcze – nierówności, nieczystości, kiksy (dęte!) – jak i na brak przekonującej interpretacji. Choć potężny i gwałtowny początek uwertury zabrzmiał obiecująco, już chwilę potem, przy bardziej przejrzystej fakturze, zabrakło delikatności i precyzji. Wydaje się, że dyrygent Eraldo Salmieri skupił się jedynie na kojarzonej z Wagnerem potędze dźwięku kosztem odcinków bardziej finezyjnych, gdzie partytura domaga się wyeksponowania detali melodycznych i rytmicznych. Stąd brak przestrzenności brzmienia.

W bieżącym sezonie zaplanowano trzy przedstawienia „Holendra tułacza” (łącznie z premierą), po wakacjach – kolejne dwa. To niewiele. Zbyt mała aktywność artystyczna Teatru Wielkiego jest kolejnym zarzutem artystów wobec dyrekcji we wspomnianym konflikcie. Pracownicy zwrócili uwagę na swoje postulaty, rozdając widzom przed premierą list, skierowany do minister kultury. Muzyka nie była więc jedyną rzeczą, na którą tego wieczoru zwrócili uwagę operomani.

Ryszard Wagner, „Holender tułacz”. Kierownictwo muzyczne: Eraldo Salmieri, reżyseria: Herbert Adler, dekoracje, kostiumy, światła: Dietmar Solt, przygotowanie chóru: Waldemar Sutryk. Premiera 24 stycznia w Teatrze Wielkim w Łodzi.